

Ciało rodziny

Rodzina długo myślała, że każdy mówi osobno.

Jedno mówiło ustami.

Drugie milczeniem.

Trzecie krokiem.

Czwarte snem.

Piąte skórą.

Szóste ciężarem na ramionach.

Ale to nie była prawda.

Mówiło jedno ciało.

Tylko rozpisane na kilka istnień.

Nie miało jednej twarzy, dlatego trudno było je rozpoznać. Nie miało jednego serca, dlatego nikt nie umiał go osłuchać. Nie miało jednej skóry, dlatego każdy drapał własne miejsce, myśląc, że to tylko jego świąd. Nie miało jednego gardła, dlatego każdy krztusił się czymś innym. Nie miało jednej drogi, dlatego każdy utykał w innym progu.

To ciało nie leżało na stole.

Siedziało przy wspólnym obiedzie.

Czekało w przedpokoju.

Milczało w samochodzie.

Zasypiało w osobnych pokojach.

Budziło się w cudzym napięciu.

Przechodziło przez dzieci szybciej niż przez dorosłych.

Rodzina mówiła:

to jego problem,

to jej charakter,

to dziecko jest wrażliwe,

to ojciec jest zamknięty,

to matka przesadza,

to zwykły stres,

to wiek,

to szkoła,

to praca,

to organizacja,

to trzeba po prostu leczyć,

to trzeba zrozumieć,

to trzeba przeczekać.

A ciało rodziny słuchało i milczało.

Nie obrażało się.

Ciało rzadko się obraża.

Ono czeka.

Czeka, aż ktoś zauważy, że rana jednego nie zawsze zaczyna się w jednym. Że ból nie zawsze należy tylko do tego, kto go czuje. Że objaw czasem jest jak słowo wypowiedziane przez niewłaściwe usta, bo właściwych nikt nie dopuścił do głosu.

Ciało rodziny nie pytało, kto zawinił.

Nie znało tego języka.

Znało napięcie.

Znało przepływ.

Znało zatrzymanie.

Znało ciężar.

Znało brak oddechu.

Znało skórę, przez którą wychodzi to, czego dom nie wypowiedział.

Znało serce, które próbowało pracować za rozmowę.

Znało gardło, które pilnowało słów.

Znało brzuch, który trawił nie swoje sprawy.

Znało barki, na które kładziono cudzą dorosłość.

Znało nogi, które chciały iść, ale stały przy starym układzie.

Każdy w rodzinie miał swoje ciało.

Ale nie wszystko, co w nim bolało, było tylko jego.

Czasem jedno nosiło granicę.

Drugie nosiło niewypowiedziane.

Trzecie nosiło serce domu.

Czwarte nosiło lęk przed ruchem.

Piąte nosiło ciężar przejścia.

Szóste nosiło sen, którego nikt nie mógł dospać.

I wszyscy myśleli, że to osobne historie.

Lekarz widział narząd.

Psycholog widział emocję.

Szkoła widziała zachowanie.

Rodzina widziała trudność.

Ksiądz mógł zobaczyć winę.

Dietetyk zobaczyłby rytm jedzenia.

Nauczyciel — brak skupienia.

Terapeuta — mechanizm.

Każdy mógł mieć trochę racji.

Ale ciało rodziny mówiło szerzej.

Nie mówiło jednym objawem.

Mówiło rozmieszczeniem.

Tu zatrzymał się głos.
Tu zastygł krok.
Tu przeciążyło się serce.
Tu skóra pokazała granicę.
Tu barki przyjęły zbyt wiele.
Tu brzuch nosił lęk.
Tu dziecko wypadło z rytmu, bo dorośli nie słyszeli własnego.

Ciało rodziny nie krzyczało od razu.

Najpierw szeptało.

Przez ton głosu przy śniadaniu.
Przez drzwi zamykane trochę za mocno.
Przez dziecko, które za długo siedziało w pokoju.
Przez matkę, która mówiła dużo, ale nie o tym.
Przez ojca, który robił wszystko, ale nie umiał usiąść przy tym, czego nie dało się zrobić.
Przez sen, który nie przychodził.
Przez ciało, które jadło nie z głodu.
Przez śmiech, który przychodził sekundę za wcześniej.
Przez milczenie, które było zbyt dobrze zorganizowane.

Potem mówiło głośniej.

Nie dlatego, że chciało kogoś ukarać.

Ciało rodziny nie zna kary.

Zna tylko brak przejścia.

Jeśli słowo nie przejdzie, przejdzie napięcie.
Jeśli napięcie nie przejdzie, przejdzie objaw.
Jeśli objaw nie zostanie usłyszany, przejdzie na kolejne miejsce.
Jeśli dorośli nie uniosą własnego, dziecko znajdzie sposób, żeby ciało domu stało się widoczne.

Nie z wyboru.

Z miłości?
Z lojalności?
Z biologii więzi?
Z dawnego prawa, które mówi, że małe ciała są najczulszymi membranami domu?

Może ze wszystkiego naraz.

Dziecko nie mówi wtedy:

niosę napięcie rodziny.

Mówi:

boli mnie,
nie chcę,
nie pójdę,

nie mogę zasnąć,
jestem zmęczony,
nie wiem,
zostaw mnie,
chcę jeszcze chwilę,
nic się nie stało.

A ciało rodziny mówi przez nie:

zobaczcie, że coś nie płynie.

Nie patrzcie tylko na dziecko.

Patrzcie, co przez dziecko próbuje się ujawnić.

Nie zabierajcie mu leczenia.

Nie zabierajcie mu pomocy.

Nie zabierajcie mu osobności.

Ale nie zostawiajcie go samego z objawem, który nigdy nie był tylko jego.

Rodzina zaczęła powoli rozumieć, że nie wystarczy pytać:

co komu jest?

Trzeba czasem zapytać:

gdzie mówi ciało rodziny?

Które miejsce stało się gardłem?

Które skórą?

Które sercem?

Które krokiem?

Które snem?

Które ciężarem?

Które dzieckiem stojącym na progu?

Bo ciało rodziny nie zawsze wybiera najmocniejszego.

Często mówi przez najczulszego.

Przez tego, kto pierwszy poczuje zmianę temperatury w domu.

Przez tego, kto nie umie jeszcze oddzielić własnego lęku od cudzego.

Przez tego, kto chce kochać obie strony naraz.

Przez tego, kto nie wie, że można oddać dorosłym to, co należy do dorosłych.

Przez tego, kto nie ma jeszcze języka, więc zostaje mu ciało.

A jednak ciało rodziny nie chce, żeby ktoś został jego ofiarą.

Chce zostać usłyszane.

Kiedy dorośli zaczynają słyszeć, dzieci mogą powoli wracać do własnych ciał.

Skóra może znów być skórą.

Gardło gardłem.

Serce sercem.

Brzuch brzuchem.

Nogi nogami.

Sen snem.

Objaw objawem, który się leczy — a nie jedyną drogą, przez którą dom mówi prawdę.

Wtedy rodzina nie musi szukać winnego.

Może szukać przepływu.

Nie pyta już tylko:

kto choruje?

Pyta:

co zatrzymaliśmy tak długo, że musiało rozproszyć się po nas wszystkich?

Nie po to, żeby się oskarżyć.

Po to, żeby wrócić do żywego języka.

Bo rodzina, która nie umie mówić wspólnym głosem, czasem zaczyna mówić wspólnym ciałem.

I dopiero kiedy ktoś to zobaczy, każdy może powoli odzyskiwać swoje własne.

Swoje serce.

Swoją skórę.

Swoje gardło.

Swój krok.

Swój sen.

Swoje dziecko.

Swoją drogę.

A ciało rodziny, które przez lata musiało być narratorem, może wreszcie przestać opowiadać bólem.